

NA ZAMÓWIENIE

Agnieszka Glińska

Młoda, delikatna, reżyserka. To wyzwanie dla Pani?

Oczywiście, że wyzwanie. Nie tylko dla mnie, ale i dla tych, którzy ze mną pracują. Urodziłam się pod znakiem Wodnika i Malpy. Czytałam, że dla takich jak ja nie ma przeszkód nie do pokonania.

Skąd czerpie Pani energię potrzebną w pracy reżysera?

Z zamięłowania. Poza tym, wydaje mi się, że reżyseria to właśnie to, co powinnam robić.

Dlaczego?

Przed wszystkim dlatego, że chodzi mi o zaspokojenie pasji kontaktu z ludźmi. I to nie towarzyskiego, przy kawiarnianym stoliku, lecz za pośrednictwem wspólnej pracy. W ostatnich latach nabrałam przekonania, że właśnie to jest najcenniejszą formą rozmowy z ludźmi. Tak też traktuję swoją pracę.

Praca reżyserska to jednak forma pewnego dyktatu, żądań stawianych innym...

Zależy, z której strony się na to patrzy. Mam za sobą także skromne doświadczenie aktorskie po skończeniu szkoły teatralnej i prawdę mówiąc nienawidziłam tego, że coś mi narzucano. Oczywiście, że są reżyserzy, którzy od początku wiedzą, jak wszystko w ich teatrze ma być i konsekwentnie do tego dążą. Moja metoda pracy reżyserskiej to raczej droga wspólnych poszukiwań. I to mnie ciekawi. Nie mam patentu na rację. Najciekawsze są właśnie spotkania, podczas których zmierza się do celu.

Musi się Pani przeciwstawić także sile i determinacji. W przeciwnym razie na plakacie musiałoby być napisane: „Reżyseria zbiorowa”.

To prawda. Nie umiem jednak znaleźć i określić tego miejsca, w którym nie powinienam ustępować. Daję jestem od dyktatury. Ale jest coś takiego, co się nazywa socjotechnika, czyli metody pracy z innymi, niekoniecznie poprzez nakazy i rozkazy czy za pomocą kija i marchewki. Na pewno nie lubię rządzić, bo zawsze mam takie poczucie, że się mylę, że nie mam racji. Oczywiście, że w mojej pracy potrzebny jest element siły. Silnego przekonania, że wiem, czego chcę i do czego zmierzam.



Jak Pani jest przyjmowana przez starszych, doświadczonych aktorów?

Różnie. Są rozmowy, są dialogi. Wszystko polega na umiejętności słuchania. Jedni aktorzy, wspaniali i doświadczeni, zawsze będą ciekawi czegoś nowego, inni natomiast zatrzymali się na jakimś etapie i nie obchodzi ich nic więcej. Z tymi drugimi współpracuje się znacznie trudniej.

Nie ma Pani tremy, stając przed nimi?

Zawsze mam potworną treść. Strasznie się denerwuję, że się wyda to, że nic nie wiem.

A nie wie Pani?

Na początku pracy zawsze mam takie uczucie, że nic nie wiem.

Ile sztuk teatralnych i spektakli telewizyjnych już Pani reżyserowała?

Trudno mi policzyć. W teatrze chyba z dziesięć i kilka w telewizji. A z której reżyserii jest Pani najbardziej dumna?

Zawsze za najlepszą swoją pracę uważam spektakl poprzedni. A potem wszystko weryfikuję. Daje mi to złudzenie, że się rozwijam, że wszystko, co robię następnego, jest krokiem do przodu w stosunku do tego, co już zrobiłam.

Siedliśmy właśnie w warszawskim Teatrze Ateneum. Przygotowuje tu Pani kolejną premierę. Co to będzie?

Będzie to sztuka Odoona von Horwatha „Opowieści Lasku Wiedeńskiego”. Piękna historia o miłości.

Sama Pani na nią wpadła?

Tak. Wyszperałam ją. To bardzo rzadko grana sztuka, a niezwykła.

Czy zrezygnowała już Pani zupełnie ze swego aktorstwa?

Tak.

Nie będzie już aktorki Agnieszki Glińskiej?

Nie będzie. Nie widzę takiej potrzeby. To moje krótkotrwałe aktorstwo było dla mnie jedynie środkiem, który miał coś uświęcić.

Trudniej być aktorką niż reżyserką?

Znacznie trudniej. Aktorstwo to najgorszy i najtrudniejszy zawód świata.

Niektórzy jednak przemożnie muszą być aktorami.

To prawda. I tylko tacy, którzy mają wewnętrzną potrzebę i determinację, mogą naprawdę być aktorami.

Dlaczego więc poszła Pani uczyć się aktorstwa?

Było to tylko takie badanie. Na początku byłam nawet przekonana o słuszności mego wyboru. Póki nie okazało się inaczej.

Czy zdarzył się jakiś konkretny moment, który zmienił to przekonanie?

Nie. Takiego momentu nie było. Był to raczej cały proces, który trwał dłużej.

Czy Pani sytuacja zawodowa jest lepsza, czy gorsza przez to, że jest Pani kobiletą?

Myślę, że wszyscy mamy jednakowe problemy. Ważny jest punkt widzenia. Staram się swojej sytuacji nie wiązać z tym, że jestem kobietą. Oczywiście, że jakoś wciąż pokutują sady, że kobieta robi teatr kobiecy, feministyczny. Ja i tak będę robić swoje.

I już tak sobie Pani zawsze będzie tym reżyserem?

Zobaczmy. Czy ja wiem, co będzie jutro?

Czy teatr rzeczywiście jest życiem?

Oczywiście. Uważam, że każdy zawód, jeśli uprawia się go z pasją, może zawierać odle życie. Byłoby tak również, gdybym była na przykład lekarzem. Wszystko zależy od sensu, jaki człowiek nadaje swojej pracy.

Krytycy teatralni komplementują Pani pracę, a kłódkę aktorzy, jak wiem, chwalą sobie współpracę z Panią. To sukces...

Nie wiem, czy to sukces. Na pewno jednak są to okoliczności, które pozwalają mi dalej być reżyserem. Gorzej bym się miała, gdyby było inaczej.

Konflikty się Pani nie zdarzają?

Nienawidzę konfliktów.

Ustępuje więc Pani?

Nie ma zasady. Każda sytuacja jest inna. Konflikty odbierają większość energii, którą można by poświęcić na coś pożytecznego.

Czy marzy Pani o wyreżyserowaniu jakiejś sztuki?

Przez długi czas marzyłam o wyreżyserowaniu „Trzech sióstr” Czechowa. I robiłam to w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Generowanie jednak nie mam jakichś tęsknot. Cały czas raczej szukam, bez programu na przyszłość.

Dziękuję Pani za rozmowę.

Rozmawiał
Kazimierz Sobolewski